Nr. 48. We Lwowie dnia 29. listopada 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Juljan Konstanty Ordon.

Nie dziwnemi awanturniczemi przygodami swego życia, nie błyskotliwemi dziełami, nie bogactwem, ani zaszczytami Ordon wzrósł pomiędzy największych w narodzie, ale poświęceniem i bohaterstwem, które kazały największemu z poetów naszych uchylić przed nim czoła i unieśmiertelnić jego imię w jednem z arcydzieł literatury polskiej. Mając za życia jeszcze wystawiony sobie pomnik nad pomniki, przechodząc z ust do ust całego narodu swego przez lat tyle w granitowych zwrotach mickiewiczowskiej »Reduty Ordona«, jej bohater żył cichy i tak obojętny na sławę, jakgdyby owe proste a nad Homera potężniejsze wiersze nie o nim mówiły. Żył, spełniając dalej bohaterstwa mniej głośne może i nie tak przez świat oklaskiwane, lecz niemniej dzielności ducha wymagające, jak wiekopomne wysadzenie w powietrze reduty nr. 54 na Woli podczas oblężenia Warszawy przez Moskali d. 6. września 1831 r.



Nikt nie przypuszczał, aby w tak strasznym wybuchu, sprawca jego, Ordon mógł ocaleć. A więc jak Mickiewicz, tak wielu uważało go za nieżyjącego. A on nie protestował wcale, nie obejrzawszy się nawet, poszedł za granicę do Anglji, gdzie żył z dawania lekcji, a powrócił dopiero w r. 1848, aby wziąć udział w powstaniu poznańskiem. Uwięziony, z trudem uwolnił się i poszedł w inne strony, gdzie właśnie wówczas sztandar wolności rozwinięto, wstąpił w walczące o niepodległość przeciw Austrji szeregi włoskie...

Lecz sprawa patrjotyczna powołała go wnet potem znowu pod znak białego orła, w r. bowiem 1855. za inicjatywą Anglji wziął udział z legjonem polskich ochotników w wojnie krymskiej przeciw Rosji. Zawiedziony w nadziejach, wyjechał po kampanji do Francji, gdzie żył z nauczycielstwa. Rok 1860 znalazł go w zastępach Garibaldiego. Tym razem, a był to czwarty z rzędu, w armji włoskiej pozostał lat 12 aż w r. 1872 podał się do emerytury.

Był to już wtedy starzec 62 letni, mimoto z utęsknieniem wyczekujący chwili, któraby mu pozwoliła raz jeszcze wyruszyć w pole dla sprawy narodowej i skierować paszcze dział na szeregi wrogów. Chwila ta nie nadchodziła, lecz w łonie samego społeczeństwa polskiego zaczęło się coś chwiać i rozkładać. Poczęły się podnosić hasła, bluźniące męczeństwu i bluźniące narodowi... Na duszę bohatera z pod Woli padał cień coraz grubszy. Czuł, że odejść musi, aby nie patrzeć na to, co się w kraju dzieje, a że śmierć, mimo lat 77 — nie nadchodziła, wystrzałem przywołał ją ku sobie...

Dziś, gdy prochy Ordona na cmentarzu Łyczakowskim skryje wspaniałe dzieło rzeźbiarskiej sztuki, kiedy przy tej sposobności imię

jego przypomniało się narodowi, spoglądając na lwa ranionego u stóp jego grobowca, przypominając sobie potężne, a proste, jak stuk stępla przy nabijaniu karabina, strofy »Reduty Ordona«, czyż znajdzie się kto, coby bez trwogi nie pytał cieniów bohatera:

»Tych, którzy Cię czczą i podziwiają, legjon cały, ale czy się znajdzie który, coby Cię naśladował?«...

Piotr Wysocki.

Imię to nie rozbrzmiewa tak głośno i szeroko, jak wiele innych, które rewolucja listopadowa zapisała w złotą księgę dziejów, a jednak nosił je człowiek niepospolity. Serce miał jak płomień, wolę jak stal. Umiał kochać, wierzyć, poświęcać się; iskrą stał się swobody, co nagromadzone w Polsce materjały wybuchowe zamieniła w wysoko gorejący płomień; dał pierwszy hasło do walki krwawej, olbrzymiej, — był twórcą Belwederskiej nocy!

To też święcąc dzisiaj pamiątkę owej nocy wielkiej i świętej, po której „dziewięć miesięcy nastało, jasnych nadzieją, wiekopomnych chwałą“, zatrzymajmy wzrok przez dłuższą nieco chwilę na postaci głównego jej bohatera, postaci wyniosłej i czystej, a podwójną opromienionej aureolą: sławy i męczeństwa.

Piotr Wysocki urodził się w miasteczku Warce w pamiętnym roku 1799, w którym to najgłośniej rozbrzmiewała pod słonecznem niebem Italji pieśń nadziei: *Jeszcze nie zginęła*, a zbluzgany krwią oręż legjonistów dążył do od budowania tego, co zburzył wróg — obcy i swój.

Nauki szkolne pobierał Wysocki w Warszawie i tu w siedmnastym roku życia zaciągnął się, jako ochotnik, do pułku grenadjerów gwardji królewskiej.

Na drogę wojskowego zawodu popychał go zapewne temperament, krewki, ognisty, i miłość ojczyzny, a potrosze i miłość sławy, ale na rozbudzenie tych uczuć wpłynęły niewątpliwie legjony z r. 1812. Stanęły one przed jego oczyma w wiośnie życia, jak „piękna mara senna“ i głębokie snać wywarły wrażenie na żywą, młodocianą wyobraźnię, jeżeli od tego właśnie wspomnienia rozpoczął pamiętniki, kreślone w sędziwym wieku na krańcach Sybiru, pod ołowianem niebem wygnania.

Mianowany w rok po wstąpieniu do wojska podoficerem, znalazł się w charakterze ucznia na ławie tej-że Szkoły podchorążych, w której miał odegrać później głośną rolę mistrza młodzieży, rolę budziciela najszczytniejszych uczuć, jakiemi ludzkość pochlubić się może.

Piękne przymioty charakteru zjednały wkrótce Wysockiemu w Szkole szerokie koło przyjaciół, a ich uczucia jednostkowe krzewiły się i rozwijały na tle wielkiej miłości, cały ogarniającej naród. Z rysów twarzy podobny do Tomasza Zana, krewnił się niewątpliwie młody wojskowy i duchowem obliczem z przewódcą Filaretów, skoro podobnie jak tamten, umiał władać zbiorową duszą młodzieży i — jak tamten — korzystał ze swej przewagi, aby ku wielkim rzeczom zwracać myśl towarzyszy. Wątku do wieczornych z nimi rozmów dostarczała mu najczęściej historja, nad którą w owych czasach sam pracował z zapałem. Dzieje Rzymu, Grecji, wielkiej rewolucji francuskiej o tyle go entuzjazmowały, o ile dostrzegał w nich podobieństwa do położenia własnego kraju. W tym duchu też mówił o nich kolegom, a żywem słowem malując im obrazy dawnej potęgi i chwały wojennej Polski, budził w nich pragnienie powrotu do dawnej świetności i zemstę ku tym, którzy ją ścmili.

Kiedy w r. 1827, po świetnym egzaminie, Wysocki otrzymał stopień podporucznika gwardji i nominację na instruktora szkoły, wzmógł się bardziej jeszcze wpływ jego na dawnych kolegów, a dzisiejszych podwładnych. I oto w kilka miesięcy później, 15. grudnia 1828 r. wiąży ich przysięgą, nierozjemną i świętą, w tajne stowarzyszenie, którego celem — wyzwolenie ojczyzny z pod obcego jarzma.

Nieograniczone zaufanie musieli żywić sprzysiężeni dla Wysockiego, jeżeli w jego jednej osobie skupili całą władzę. Jego wola zastępowała wszelkie ustawy i przepisy; on przyjmował nowych członków bez zasięgania rady kolegów, jemu polecono zadzierzgnięcie stosunków z wybitniejszymi obywatelami kraju; on jeden kierował nawą spisku, który był jak „burza zawarta w kilkunastu ognistych głowach, przechodem swoim, jak gwałtowny uragan, mogąca wniwecz obrócić wszystko, coby jej na drodze zawadzało“. On nakoniec, gdy wybiła godzina czynu, stanął przed spiskowymi i głosem potężnym, co brzmiał, jak odgłos trąby bojowej, wezwał ich na pole krwi i sławy, wołając: „Polacy! Wybiła godzina zemsty. Dziś umrzeć lub zwyciężyć potrzeba! Idźmy, a piersi nasze niech będą Termopilami dla wrogów!«

Potem... ale któż nie wie, co się potem stało! Czyjeż serce nie bije zapałem na wspomnienie wielkiego czynu? — Wysocki na czele stu sześćdziesięciu kilku podchorążych uderzył na trzy pułki jazdy rosyjskiej, rozgromił nieprzyjaciela, wyparł go z zajmowanych koszar, a potem wiodąc ku miastu garstkę bohaterów dwukrotnie jeszcze stawiał czoło wrażej nawale i zwyciężył, i po trupach nieprzyjaciel-

skich wkroczył tryumfalnie do pięknej, groźnej Warszawy.

Tam — bruk stolicy, uświęcony tradycją walki o wolność, Wysocki i towarzysze farbują krwią zdrajców, krwią „wiernych dla cara Polaków“, poczem wlewają się pod arsenałem czerwoną, płomienną falą we wzburzone morze ludu miejskiego, który od pierwszej chwili rewolucji zrozumiał o co chodzi i bezmiernym gminem pośpieszył na obronę ojczystych swobód.

(Dokończenie nastąpi). *M. Wysłouchowa.*

O kwestji tak zwanej „kobiecej“

ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Ciąg dalszy).

Zasada, poznana uprzednio o budowie niejednolitej organizmów, tak męskich, jak żeńskich, następnie prawo, łatwe do sprawdzenia, mianowicie prawo krzyżowania cech w potomstwie czyli przekazywanie znamion jednej płci na korzyść płci drugiej, jasno nam uprzytomnić mogą ów błąd, który się popełnia zwykle przy badaniach antropologicznych; również wykażą nam one niedorzeczność czynu, gdy z umysłu lub bezwiednie przecenia się jedną płeć na niekorzyść drugiej. Deprecjacja taka jest nietylko przewinieniem, dokonywanem poprzed sądem nauki, ale nadto mści się ona w praktyce życia nad tą samą uprzywilejowaną częścią społeczeństwa — za krzywdy przez nią wyrządzane, a to na mocy zasady, że i płeć upośledzona przekazuje potomnie na płeć drugą znamiona swoje w tem upośledzeniu nabyte, więc w ten sposób unikczemnia tych, którzy godzili na jej prawa. Dzieci zrodzone z upośledzonych helotek i przez nie wychowane, muszą być istotami moralnie ułomnemi.*)

Zapoznanie wpływu, jaki wywierają kobiety, czy to w sprawie generacji pokoleń, czy to w sprawie kształcenia takowych jest największym błędem dzisiejszej cywilizacji. Skutki zapoznania tego wpływu widzimy wszędzie i to tak dobrze w zakresie coraz więcej wzmagającej się degeneracji moralnej i fizycznej całych warstw socjalnych [1]), jak i w barbarzyńskich stosunkach, które panują w społeczeństwach, w klubach i zebraniach towarzyskich, gdzie kobiety zostały usunięte na stronę i nie biorą udziału w życiu czy to publicznem, czy prywatnem. Karciarstwo, opilstwo i inne piękne nałogi, które dziś toczą jak wstrętne wrzody ciało organizmu społecznego wszystkich niemal narodów, tak zwanych cywilizowanych, zostały zrodzone i wyrosły do rozmiarów olbrzymich na łonie towarzystw czysto męskich, również jaskinie gry hazardowej i rozpusty zawdzięczają byt swój i rozwój tymto samym towarzystwom męskim.[2])

---

*) *„Tous les penchants égoistes, le culte de soi-même, l'injuste préference de soi-même, qui dominent dans l'humanité, ont leur source et leur racine dans la constitution actuelle des rapports de l'homme et de la femme, et y puisent leur principale force... Il en est de l'homme comme d'un roi héréditaire, qui se croit meilleur que tout le monde, parce qu'il est né roi, ou pour un noble parce qu'il est né noble... Le culte que le monarque ou le seigneur féodal se rendent à eux-mêmes ont leur pendant dans le culte que le mâle se rend à lui même* (S. Mill. str. 178, 180, 181). Ta adoracja samego siebie, ten kult samolubny, samczy, jest w osobnikach męskich tak potężnie rozwinięty, i tak powszechny, że wnosi nawet do studjów czysto zoologicznych przesąd, powstały w dziedzinie socjologji. Wielu zoologów uznaje dzisiaj wszystkich samców w ogólności za istoty wyższe od samic, jakkolwiek pełno przykładów świadczy o mylności takiego poglądu, wspomnijmy pomiędzy innymi przykłady takie, jak historja o trutniach, o samcach mrówek, bielcówek (Termity) etc.). Obserwacje moje, czynione nad zwierzętami hodowanemi i dzikiemi w Syberji i na Kamczatce stoją w sprzeczności z zapatrywaniami ogólnie dzisiaj przyjętemi w »Oecologji« zwierzęcej, (w nauce, »bjologją« dzisiaj niesłusznie zwaną).

[1]) »Każdy, kto uważnie śledzi stosunki społeczne oraz bjologiczne naszego obecnego życia cywilizacyjnego, musi przyjść szybko do tego smutnego przekonania, że współczesne społeczeństwa na Zachodzie Europy dążą do ruiny fizycznej i moralnej«. (M. Wolff. str. 24). »Nie! spokojnem i szczęśliwem życia większości ludzi wcale dzisiaj nazwać nie można. Na świetny obraz cywilizacji, który wolno sobie wyobrazić i którego należałoby oczekiwać, pada cień mętny i ponury«. (str. 16). »Stosunki społeczne w Europie... wcale, a wcale nie są rajskiej natury« (str. 19). »Powszechna bezradność i bezrząd wywarły pod wielu względami różnoraki oraz potężny wpływ na życie jednostek, spotęgowanie zaś opilstwa i zażywania rozmaitych trucizn narkotycznych... jest po części także znamiennym objawem chorobliwości społeczeństw. Ludzkość cywilizowana bowiem naśladuje tutaj na wielką skalę postępowanie jednostki, która swą troskę chce utopić na dnie flaszki«. (str. 20) etc... Do takiego poglądu na obecny stan moralny i fizyczny społeczeństw dojść musi każdy, kto się uważniej zastanowić zechce nad objawami życia ludów cywilizowanych; otóż same zjawiska są łatwe do ujęcia, ale trudno poznać przyczyny takowych, stąd też każdy z obserwatorów widzi je gdzieindziej; najbliższy prawdy, według mego zdania, jest S. Mill, który utrzymuje, że główną przyczyną jest egoizm mężczyzny, a źródłem tego egoizmu są stosunki socjalne, jakie się ułożyły pomiędzy kobietą a mężczyzną. (str. 178 i dalsze.)

[2]) »Opowiadano mi« pisze »Poseł prawdy« w 43 nr. czasopisma »Prawda«, »że gdy na zebraniu pewnego sto-

Wracając po tych uwagach ogólnych, dotyczących właściwości płciowych drugo i trzeciorzędnych organizmu człowieka — do przerwanego wątku naszych rozważań nad rozwojem rodowo-organicznym płciowości w naturze*) — zaznaczyć winniśmy zaraz na wstępie, że w organizmach hermafrodytycznych obie płcie były początkowo prawie równo-wartościowe, że następnie w stadjum »gonochorycznem« przewagę otrzymała płeć żeńska.

W dalszym ciągu rozwoju, a mianowicie podczas całego perjodu trwania procesu wyodrębniania się osobników płciowych męskich i żeńskich, prawie wszędzie i zawsze organizm tych ostatnich miał najwyraźniejszą przewagę nad męskim, i to tak dobrze pod względem jakościowym, jak też w większej części wypadków i pod względem ilościowym, a gdy organizm męski schodził często do roli pasorzyta na ciele organizmu samiczego, to ten ostatni, czyli organizm żeński, stał zawsze samodzielnie na czele rozwoju postępowego.

Z chwilą, gdy strona psychofizjologiczna organizmu wykształcać się zaczęła, gdy troska o los potomstwa zaważyła na szali rozwoju rodowego, tam uzyskiwała przewagę i duchowo i cieleśnie ta płeć, która ów czynnik postępu w siebie wcielić potrafiła, aż ostatecznie organizm żeński w całości u wyższych zwierząt stał się wyrazicielem najwznioślejszej właściwości swojej — miłości rodziny, owej podwaliny altruizmu społecznego, który w ludzkich stowarzyszeniach podnieść się zdołał do świadomego już dzisiaj ideału psychicznej natury, do ideału — miłości wszystkich bliźnich — do miłości całego świata. A jeżeli ten najszczytniejszy przymiot natury ludzkiej przeszedł, bądź częściowo, bądź w całości z organizmu żeńskiego na organizm męski, to tylko zawdzięczając prawu przekazywania potomnie cech, nabytych przez jedną płeć na korzyść drugiej, czyli prawu krzyżowania cech w potomstwie. Jak gruczoły mleczne w zakresie dziedziczności cielesnej, tak miłość rodzicielską — altruizm w ogólności w dziedzinie spuścizny duchowej otrzymał organizm męski po kądzieli.

Rozwój inteligencji i postęp rozwoju organicznego szły ręka w rękę z postępem i rozkwitem altruizmu, który się zrodził na łonie macierzyństwa i dzisiaj stanowi najlepszą miarę dla oceny wartości jak pojedyńczych osobników, tak i całych społeczeństw i narodów. Nie egoizm indywidualny, rodzinny, kastowy, społeczny lub narodowościowy, lecz altruizm w najobszerniejszem znaczeniu tego pojęcia, święcić będzie zwycięstwo w przyszłości. Altruizm doprowadził gatunki zwierzęce do pierwszego szczebla stowarzyszenia, który nazywamy rodziną, odtąd rozpoczyna się proces rozwoju rodowo-społecznego. W progu tego okresu samiczość, już zdobna w przymioty miłości macierzyńskiej, stoi i duchowo, i cieleśnie o wiele wyżej ponad samczością. (C. d. n.)

warzyszenia ktoś zaproponował usunięcie gry w karty, większość podniosła taki krzyk, jak gdyby ów bluźnierca zażądał od zgromadzonych w kościele usunięcia cudownego obrazu. Oburzonym członkom zdawało się, że Samson ujął kolumnę ich klubu, wstrząsnął nią i wkrótce całe sklepienie zwali na głowy obecnych, którzy zginą pod gruzami». Smutno przyznać się do tego, że dzisiaj »karty« są jedynym cementem, który spaja członków każdego »klubu«, »koła«, »kasyna«, etc. w jakąś, »siaką - taką« miazgę społeczną. Usunąć grę w karty z towarzystw rzeczonych, jest to samo co je skazać na zagładę, bo co poczną ze sobą członkowie jakiegoś, dajmy na to »koła«, gdy im zabraknie stołów zielonych, gdy ich umysł, przywykły do strawy karcianej, posiłku takiego już nie znajdzie. Niczem są: głód i pragnienie fizyczne wobec cierpień, spowodowanych próżnią umysłową, taka nastąpić musi, gdy kart nie stanie. Ideał kobiety, powiada S. Mill, jest wyższy od ideału mężczyzny, jej wpływ tylko mógłby podnieść ideał tego ostatniego na wyższe poziomy. »Kluby, kasyna i koła«, byłyby wiele zyskały na tem, gdyby przestały być wyłącznie męskimi „*Les femmes sont des auxiliaires puissants de la vertu et poussent souvent leur maris ou leurs fils à des actes d'abnegation dont ils n'auraient jamais été capables tout seuls*“ (str. 193).

*) Wspomniałem uprzednio i obecnie mówię znowu o znamionach płciowych pierwszo, drugo i trzeciorzędnych. Kategorje wymienione znamion płciowych nie są dotąd ściśle określone, bo prawie każdy naturalista inaczej je pojmuje, nie będzie więc rzeczą zbyteczną, jeżeli kategorje, o których mowa, dokładniej określić się postaramy.

Hunter podzielił cechy płciowe na dwie kategorje: na znamiona pierwszo i drugorzędne, do tej ostatniej kategorji zaliczył takie charaktery, które nie są bezpośrednio związane z czynnościami generatywnemi, tak np. grzebień i ostrogi u kogutów, rogi u jeleni, etc. Darwin przyjął podział Hunter'a na dwie kategorje, ale granic pomiędzy niemi ściślej nie zaznaczył. Karol Stewart rozszerzył granice dla znamion pierwszorzędnych, gdyż do nich zaliczył cechy, które stoją w związku z narządami przeznaczonymi do karmienia i do ochrony potomstwa. Dr. Havelock Ellis podzielił znamiona płciowe na trzy kategorje, ale te przez niego dokładnie oznaczone nie zostały. Ja z mojej strony proponuję podział znamion płciowych: morfologicznych i psychicznych na trzy kategorje. Podział, o którym mowa, dałby się przeprowadzić w sposób następujący:

1. Do kategorji znamion pierwszorzędnych zaliczam cechy takie, które są najściślej zależne od czynności narządów generatywnych i ośrodków nerwowych tych organów.

2) Do kategorji cech drugorzędnych należą znamiona, ściśle połączone z czynnościami organów, wychowawczych czyli narządów służących do wykarmiania i ochrony potomstwa, a także wszystkie właściwości psychiczne natury altruistycznej.

3. Do kategorji cech trzeciorzędnych należą znamiona, nie stojące w bezpośrednim związku, ani z organami generatywnymi, ani z organami dotyczącymi troski o los potomstwa, (czyli organami wychowawczymi). Właściwości psychiczne, do tej kategorji należące, są natury egoistycznej.

W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).

6)

(Ciąg dalszy).

Dziewczyna z czułością pochyliła się nad dzieckiem; towarzyszka przysunęła się do niej.

— Ciało mięciuchne, odzież cieniutka... Piękni ludzie z południa!...

— Zamiast głupstwa gadać — odezwał się Aleksander — wzięłabyś, Toj, igłę i zaszyła dziury w odzieży dziecka, a towarzyszka twoja niechby tymczasem upiekła podpłomyk. Napijemy się herbaty. Oto są nici i mąka.

Dziewczęta zrzuciły kaftany.

— Wszystko macie ładne wy, południowi... — gwarzyła Toj, rozbierając gałganki — a tylko nigdy z wami nie wiesz, co będzie... Oto Pałkin, czyż nie żył tyle lat, jak przystało?... I nagle... Kochania też godni jesteście, choć brody nosicie.. gdyby nie to, że nie wiadomo, co w was siedzi...

Jej przyjaciółka gniotła ciasto i zanosiła się od śmiechu.

— Doprawdy, pokochałabym cię chętnie, Liksandra, gdybyś nie był cudzoziemiec... Bardzo bym cię kochała!...

— Kto cię o to prosi, Toj?

— Niby to krwi nie masz zupełnie! — roześmiała się dziewczyna. — Prawda, nie słychać, żebyś za kobietami przepadał; i właśnie, za to cię lubię.

— Opowiedz lepiej, jak sprawa Tatarów stoi? Kiedy przyjeżdża zasiedatiel? Czy radził co o ziemi dla mnie na zebraniu? Ojciec twój, słyszałem, był tam...

— Dużo się od niego dowiesz! pod nosem mruczy. Mój ojciec zupełnie dziki człowiek, nigdy nic nie mówi. Słyszałam, że ta sprawa więcej już kosztuje gminę, niż całoroczne utrzymanie Tatarów... Byli Tatarzy, brali Tatarzy, niema Tatarów, też biorą... A Jakutom tyle szczęścia, co uśmiechnąć się...

— Kiedyż zasiedatiel ruszy? pozostanie do jutra?

— Nie wiem. O sobie tylko wciąż myślisz, Liksandra... — z wyrzutem odrzekła dziewczyna,

Aleksander odwrócił się. Toj nagle spoważniała. Milczała i szyła pilnie. Duże warkocze, srebrem uwieszone, zsunęły się jej z ramion na piersi. Towarzyszka jej siedziała obok i zdziwionemi oczyma spoglądała na nią i na Aleksandra. Zosia lepiła figurki z resztek ciasta.

Po herbacie dziewczęta natychmiast odeszły.

Mimo wstrętu, jakiego doznawał, musiał Aleksander znów jechać w swej sprawie do zasiedatiela. Władze w tym głuchym zakątku zjawiały się bardzo rzadko, w razie tylko jakiegoś niezwykłego wypadku. On zaś nie wierzył w obietnice Jakutów; był przekonany, że ustąpią tylko przed siłą.

— Świństwo!... ale nie mam innego wyjścia! Z czasem odwdzięczę się im! Będę dobrym sąsiadem, pożytecznym doradcą.. Będę ich uczył i pracował, a teraz... precz sentymenty!...

Nietracąc czasu, zaprzągł konia i pojechał. Znalazł zasiedatiela, jak za pierwszym razem w tłumie Jakutów, za stołem.

— A! witaj pan! — przyjął go chłodno.

Twarz miał obrzękłą, zmęczoną, oczy przymglone.

— Dobrze, że pan przyjechał; chciałem już posyłać po niego. Co sobie myśli pański towarzysz? Dlaczego nie wyjeżdża? Znów gubernator przysłał mi naganę... Nie wiesz, gdzie się od was podziać, od wszystkich! Jakuci płączą, -męczą, ładu niema; wy drwicie sobie z rozkazów!... Kiedyż się to skończy?...

— Już wyjechał — chmurno odpowiedział Aleksander. — Przykre rzeczy zawsze się pilniej wykonywa.

— Wymówki? co?... — rzucił urzędnik i tyłem odwrócił się do Aleksandra. — Przyprowadziliście? — groźnie krzyknął na jakuckich sołtysów i kniaziów.

— Przyprowadziliśmy, panie! — odpowiedzieli, kłaniając się nisko.

Młody, ubogo odziany Jakut wystąpił z szeregu.

— Zgadzasz się świadczyć przed sądem?

— T — a — k! Nie! — odrzekł wstrząsając głową.

— Więc nie widziałeś! A cóż plotki roznosisz?... Głowy zawracasz... ludzi mieszasz... Durnie! durnie!... Przyznałby się który i basta... kręcą!... mącą!... Wszystkich zabrać każę!... wszyscyście wiedzieli!..

— Nie, nie wiedzieliśmy, panie nasz, nic nie wiedzieliśmy — płaczliwie zapewniała starszyzna gminy, bijąc pokłony.

— Nie, nie widzieliśmy! powtarzał z nimi chór Jakutów.

— Końskie mordy!.. A bierzecie się do spraw!... Wziąć i tego!... — krzyknął gniewnie. — Sprawę oddam innemu... odmówię... Dość... przepadajcie głupcy! Ja nie myślę zdrowia z wami tracić!...

— Zlituj się nad nami!... pożałuj, ojcze nasz i panie!

— Panie, ja wszystko opowiem... co i jak... całą prawdę!... od samego początku... — wyrzekł niespodzianie jeden z obwinionych, wysoki chłopak z gorączkowo błyszczącemi oczami i energicznym wyrazem twarzy.

Wszyscy z przerażeniem zwrócili się ku niemu; urzędnik pobladł i zerknął na Aleksandra. W jurcie zrobiło się tak cicho, że słychać było szczękanie zębów trzęsących się od wzruszenia

ludzi. Pisarz nadstawił uszów i papier bliżej przysunął. Chłopak smutnem spojrzeniem powiódł po obecnych i zaczął dobitnie:

— Sześć lat temu, gdy przywieźli Tatarów, byłem jeszcze małym chłopcem. Tatarzy mieszkali w domu, należącym do gminy. Dobrze mieszkali... jedli... pili — wesoło mieszkali. Zdarzało się, że i mnie częstowali. Gmina dawała im mięso, masło, mąkę. Wiele dawała, nie wiem o tem, wiedzą panowie starsi... ja tylko wiem, że mieszkali wesoło. Później gmina dała im grunta, wybudowała dom niedaleko od swojej sadyby... Zboże siali, ziemię uprawiali, pięknie mieszkali. Najprzedniejsi byli ludzie, dobrzy, bogaci ludzie!... Mego gruntu kawałek przyswoili sobie... Około ziemi chodzili starannie, mieli urodzaje... Za jeziorem też siali.. Grunt tam przedziwny. urodzajny... — nowa glina...

— Do sprawy nie należy... Spiesz się!...

— Więc... mieszkali dobrze!... Niczego nie było im dosyć, wciąż żądali, wciąż więcej prosili. Gmina szanowała ich. Bardzo nasza gmina poważała Tatarów. Dawała, co chcieli. Dużo ludzi do nich chodziło: chodzili Rosjanie, chodzili Czerkiesi, chodzili Cyganie... wszystkie ludy chodziły. Kradli konie, kradli krowy.. rznęli i jedli. Ilekroć było wejść do nich, na ogniu kipiał kocioł pełen mięsa... Czasami i gościowi dali kawałek... Żyli, jak się należy, co taić! Syn ich Abdułka pierwszy był w okolicy zuch!.. W karty grali, wódkę pili .. wesoło żyli...

Tu przerwał sobie, westchnął, spojrzał na zasiedatiela, potem w otwarte okno, na zalaną słońcem okolicę i nagle chytry, zuchwały uśmiech przemknął po jego ustach.

— Co dalej?

— Grali, wódkę pili, ludzi chodziło dużo, i... spalili się — zakończył obojętnie.

Słuchający odetchnęli.

— Ty piłeś? grałeś?

— Zdarzało się. Dlaczego pić nie miałem? A tylko nie Jakuci ich zabili... Czyżby mogli dać radę takim siłaczom!... Zabili ich Rosjanie, ci co wciąż u nich bywali Zabili ich ludzie zręczni, orężni i śmiałego serca... naprzykład wojenni — żołnierze. Czyż z Jakutów bywają żołnierze? Cesarz znajduje, że Jakuci nie warci być żołnierzami, że nie są bitni... Bywałem u nich, prawda, wódkę piłem, ale jam słaby człowiek i nie wiem, jak broń nabijać.... Wówczas, gdy się oni spalili, kosiłem na łąkach siano. Wszyscy mię widzieli. Widział mię i syn Niohora... W przyjaźni żyłem z Tatarami.. Któż zechce zabijać przyjaciół? My przyjaciół bardzo szanujemy, a Rosjan przyjaciół jeszcze więcej.. Więc powiem ci, panie nasz, jak doprawdy było; posłuchaj: Rosjanie zabili Rosjan, a później s.. spalili się!

— Cóż ty, kpisz sobie?! Miele, miele i wciąż to samo! Wyprowadzić go, i przygotować sanie!

Obwinionych wyprowadzili, a za nimi i obecni tłumnie wylegli z izby.

— Jedziemy! — zawołał urzędnik. — Ach, ziemia dla pana!... — zwrócił się do Aleksandra. Zapomniałem. Wyślę rozporządzenie z miasta.. A teraz — dowidzenia!...

— Wątpię, czy rozporządzenie poskutkuje. Było ich trzy..

Zasiedatiel cmoknął ustami.

— Jak pan nie rozumie!... Nie mogę obecnie... W żadnym razie nie mogę... Postaraj się sam... Ugódź... Najlepiej siedziałbyś pan cicho i brał, co dają: Jakuci dodadzą, niech pan zażąda, to ja dopomogę...

— Tego nie zrobię, Inocenty Wasiljewiczu... To darmo!... — z niechęcią przerwał mu Aleksander.

— A więc, jak pan chce Namyśl się pan. Cóż tam nowego? — zwrócił się do Jakutów, którzy znów zapełnili jurtę.

W pierwszym szeregu stanęli kniaziowie i sołtysi z medalami na szyjach, z darowanymi za służbę kordelasami u boku, siwowłosi starcy, porządnie odziani bogacze. Za nimi cisnął się szary tłum. Ze środka wystąpił żebrak zgarbiony, na kiju oparty; ziemię kosturem obmacał, odchrząknął i opuścił się na kolana.

Urzędnik zdziwiony wstał.

— Co to za komedja?

— Panie nasz — zaczął starzec, wyciągając ręce... — Jam winien, ja zabiłem Rosjan. Dotychczas przebiegle chowałem się.. ze strachu. Teraz wyznaję mój wielki grzech. Zabiłem ich ponieważ krzywdzili nas.. mnie krzywdzili! Więcej, niż niedźwiedzie i wilki niszczyli oni nasze stada... Ubyło naszego dobytku, skamieniały z gniewu serca nasze. Jurta ich, niby rana gnojąca, wyrosła w naszej okolicy. Kobiety nasze w dzień nawet lękały się mimo niej przechodzić; młodzież nauczyła się pić, grać, polubiła rabunek, a zniechęciła się do pracy. Sił nie stało znosić dłużej!... Wciąż coś ginęło... Rabowali nas. — Skarżyliśmy się... Sam wiesz, nieraz prowadziłeś śledztwo... Zawsze wykręcili się, a potem gorzej jeszcze srożyli... Dlatego zabiliśmy ich.. ja sam ich zabiłem... Weź mnie, a wypuść niewinnych!... Osądź mię surowo według surowych praw waszych!

— Oszalałeś głupi!... stary i ślepy!... Ledwie chodzisz, a powiadasz, żeś sam zabił trzech dorosłych mężczyzn i dwie kobiety... Pałkin nie ciebie wskazał...

— Pałkin kłamie! On pomagał mi właśnie. Najpierw zabiliśmy jednego, a potem rozważyli, że za wszystkich ta sama kara.

— Wstań starcze!... dość komedji! Gdzie mieszkasz?

— W okolicy. Włóczę się od jurty do jurty. Uwolnij dzieci nasze, weź mię, sądź!... zabiłem!... — mruczał żebrak. — Dla mnie wszędzie koniec jednaki... wszędzie dzień śmierci przyjdzie! Uwolnij dzieci nasze!

— Weź go, o panie! – prosili Jakuci. — Ulituj się!... Czyż ci nie jedno, kogo przedstawisz w Gubernji... Wziąłeś młodych, wziąłeś dzielnych.. Ile kobiet i dzieci płakać po nich będzie i głodem przymierać!

— Wszyscy jęczeć będziemy!... Kto podatki zapłaci? Weź starego... Dobry stary.. Zda się jeszcze... przyjmą go w Gubernji. Co go przyjąć nie mają... Mocny jeszcze człowiek!..

— Weź, a wypuść dzieci nasze... — powtarzał żebrak.

— Dosyć!... Kniaź, co to znaczy?...

— Mówiłem im, że to na nic się nie zda — chmurno odpowiedział kniaź.

Jakuci nie ustępowali.

— Urządź nowe badanie... wypytaj... zobaczysz, jak gładko opowiemy ci...

Urzędnik strasznie się rozgniewał, tupnął nogą i krzyknął podniesionym głosem:

— Wynoście się natychmiast!... Precz!... Kniaź — sanki! Jurtę oczyścić!..

Wpół godziny potem brzęcząc leciała drogą kibitka zasiedatiela. Po podwórzu snuli się zbrojni ludzie i sadowili na sanie aresztowanych.

Tłum stał milczący i nieruchomy i tylko słychać było płacz kobiet.

— Nie pójdę!... Dokąd mam iść?... Ztąd rodem jestem!... — nagle zakrzyczał syn Niohora i c[illegible]ął rękami pobliski słup. Dziesiętnicy rzucili się na niego. Klęli z cicha, szamocąc się z nim. Chłopak długo ryczał i zgrzytał zębami, nim rozwarł zmordowane ramiona. Powalili go na wznak i przywiązali do sanek. Leżał bez ruchu, z posiniałą twarzą i zamkniętemi oczami, odzież na piersiach miał podartą, a głowa obnażona i nie podparta uderzała o krawędź sani za każdym ich ruchem.

Zmarznie!... okaleczycie człowieka!... Nakryjcie go!... — krzyczał Aleksander za odjeżdżającymi. Konwojujący Jakuci konno ze strzelbami na plecach mijali go gęsiego, nie zwracając uwagi na jego wołania.

Aleksander ruszył do domu. Wrony, przeziębły i podniecony ogólnym ruchem, poniósł go, jak burza, przelatując mimo smutnego orszaku. Więźniowie kiwali głowami. Wkrótce zostawił ich daleko za sobą. Na przodzie słychać jeszcze było dzwonek zasiedatiela, ale cichy i coraz bardziej niknący.

V.

Łagodny, południowy wietrzyk z trudnością przenikał lasy, okalające dolinę. Jak rój elfów, bez szmeru przelatywały nad tajgą jego podmuchy, dając znać o sobie lekkiem kołysaniem bardziej wysmukłych wierzchołków; wypadłszy na łąki, na wolne przestworza, skupiały się jak wybuchy swawolnego śmiechu, dęły, szemrały, igrały z chorowodem jesiennych liści, trzęsły żółtemi kitami zaschłych traw, marszczyły kryształową powierzchnię na wodę stopniałych śniegów i — wpadały w przeciwległe lasy, gdzie znowu milkły. Pod ich pieszczotliwem, ciepłem tchnieniem szybko znikały zimowe pokrowce, mierzchła ich białość, ustępując wszędzie połyskom żywej wody. W głębokich wąwozach szumiały potoki, liczne wodospady zlewały się po tarasach lodowych: przez powietrze, przesycone wilgocią i ciepłem, łagodnie świeciło słońce; jego promienie nawskróś przenikały nieocienione liściem lasy, sięgały do samej ziemi nieprzykrytej jeszcze zielenią. Tylko w parowie Ałdanu panowała jeszcze zima biała i nieruchoma.

Czasami, na pogodne niebo wiatry południowe wytaczały chmury białe i ciężkie. Jak śnieżne lawiny niosły się one nad doliną. Wiało od nich chłodem i śnieżną zamiecią. Ptaki wówczas milkły, bladły zwierciadła wód... na krótko, gdyż groźna chmura miała tchnienie wilgotne, a cień ciepły. C. d. n.

Ze śląskiej ziemi.

(Ciąg dalszy).

Pod osłoną podwójną nocy i chmur dotarliśmy do pierwszych chat Istebnej. Rozrzucone grupami, jak najczęściej bywa w śląskich wioskach, drzemały one w milczeniu i ciemności, którą zaledwie przerywał gdzieniegdzie słaby blask szyb, z wewnątrz oświetlonych. Komu, jakiej pracy przyświecają te drobne, jak świętojańskie robaczki, płomyki naftowych lampek? Co myślą, jak czują mieszkańcy tych cichych chat?

Niedługo chyba przyjdzie nam czekać odpowiedzi na powyższe pytania, bo w jednej z takich właśnie chat mamy przecie spędzić dwa letnie miesiące. Ale któraż z nich użyczy nam schronienia pod gościnnym swym dachem? Która należy do Małegojurka? -- Z tem ostatniem pytaniem zwracamy się do kilku młodych górali, stojących przed okazalszą od innych budową, zapewne gospodą, z której okien żywe bije światło.

— Kiera izba patrzy do Małegojurka? — powtarzają z namysłem. — To isto chcom do piekorza u Kulonka. Trzeja pram terendy jechać, han, ku kościołowi.

Ruszamy, ale w tej-że chwili wózek nasz otaczają z obu stron wysokie, smukłe postaci. Mieliż by to być następcy Janosika, Ondraszka, Proczpaka lub jakiego innego, głośnej sławy zbójnika?

— W dziedzinie [1]) je więcyl Małychjurków — mówi uprzejmym, mile brzmiącym głosem jeden z rzekomych napastników, uchylając grzecznie kapelusza — po ćmie trudno hledać [2]), toż ich zakludzimy. [3])

Rycerska zaiste uprzejmość względem podróżujących kobiet! Przyjmujemy ją z wdzięcznością i jedziemy dalej niby w tryumfalnym orszaku, ciesząc się, że pierwsze odebrane w Istebnej wrażenie, tak dobrze świadczy o gościnności jej mieszkańców. Znajomość w podobnych warunkach zawiązuje się szybko: po chwili rozmawiamy z grzecznymi przewodnikami, jak starzy znajomi. Pytania i odpowiedzi krzyżują się wzajemnie: — Skajś som? — badają górale. — Z Warszawy?.. ze Lwowa?... z Polski?... — powtarzają akcentem przyjemnego zdumienia. — U nas na Izdebnem [4]) nie bywują nigdy gości z Polski, jen z Bielska, Cieszyna, Morawy, Wiednia. — A daleko majom ze Lwowa do Lemberku? — Jako się tu Im podoba? — Ot uż my i przijechali: widzom haw [5]) izbem Małegojurka?

Kontury chaty, przed którą staje wózek, wsiąkają w tło nocy, wyraźniej odcina się na niem tylko wysoki biały komin. Górale burzą energicznie pięściami we drzwi, wołając donośnie: — »Wstawajcież, ludkowie mili, wstawajcie! gości ze Lwowa przijechali!«

Burzenie i wołanie odnoszą pożądany skutek: drzwi uchylają się po chwili, dając przejście gaździnce z latarką w ręku, a wślad za nią pośpiesza i gazda trąc zapamiętale oczy. Cokolwiek zaspani, ale z szerokim na ustach uśmiechem, witają nas z oznakami żywej radości. Wysiadamy. Nieznani opiekunowie pomagają jeszcze w dźwiganiu naszych kufrów i koszów, poczem znikają w ciemnościach nocnych. Czy tak śpieszno im do domów, czy też odchodzą nas bez pożegnania z obawy, abyśmy do słów nie dołączyły i mniej idealnego wyrazu wdzięczności?

Na serdeczne zaproszenie gazdów przestępujemy próg chaty, światło latarki migoce przelotnie na wilgotnej płycie kamiennej, stanowiącej podłogę podsienia. W sieniach wynurzają się częściowo z ciemności, szafy, schody, kilkoro drzwi. Wchodzimy przez jedne z nich na prawo do świetnicy o dwóch dużych oknach. Lampa, zwieszająca się nad stołem, pozwala ogarnąć jednem spojrzeniem jej wnętrze. Wysoki sufit, świecąca czystością podłoga, świeżo wybielone ściany, na nich fotografje i obrazy religijnej treści w gustownych ciemnych oprawach, pod ścianami łóżka, piętrzące się puchową pościelą, szafy, umywalka, pośrodku stół zasłany czerwoną w deseń serwetą, na stole olbrzymi bukiet białych, wonnych storczyków, — oto co ujrzały rozszerzone zdumieniem źrenice nasze we wnętrzu góralskiej chaty.

Gaździnka krząta się tymczasem zwinnie, szybko, cicho. W obszernej izbie o czterech oknach, położonej po drugiej stronie sieni, roznieca ogień ze smrekowego drzewa, które, »jako smolite, gore« jasnym, wesołym płomieniem; stół w świetnicy zarzuca białym, jak srebro, obrusem; znika, jakby się wskróś ziemi zapadała, w otworze, prowadzącym z sieni do piwnicy, w której się znajduje studnia, a po chwili zjawia się ponownie, niosąc piękny, szklany dzbanek, napełniony kryształową wodą. Nie ustaje przytem w rozmowie, prowadząc ją ze swobodą uprzejmej pani domu, ucieszonej z gości. — Nie wiedząc naisto kiedy przyjedziemy, wyglądała nas co wieczora od dni kilku, ale dzis poszła wcześnie leżeć [1]), bo nie nadała się [2]), aby paniczki w grmiączkę jechały. Chwała Bogu, że nic się im nie stało. Boże szczęść im i nadal; niech im się tu na Izdebnem podoba, niech im tu wszecko beje [3]) dobrze! Takie same mniej więcej życzenia usłyszałam tego wieczoru poraz drugi jeszcze, kiedy gazda i gaździnka odprowadziwszy mię na górkę, to przeznaczonej dla mnie izbeczki na werchu, żegnali — wedle zwyczaju ludu śląskiego — przyjacielskiem poda iem ręki

Jako żywo: spełnią się wasze życzenia, uprzejmi ludkowie! Gdzie na szczytach gór biorą początek kryształowe wód potoki, a z ust ludzkich płynie mowa polska, jak one czysta i niezmącona; gdzie na niebie świeci słoneczko, powołujące swym żarem do życia wspaniałą florę górską, a w uspołecznionych sercach bratnie dla bliźnich płoną uczucia, — tam źle być nie może, tam beje nam dobrze!

Przed mrużącemi się do snu powiekami mignęły mi jeszcze, jako ostatnie dnia tego pamiątki, trzy krzyże w purpurowych blaskach wieczornej zorzy, pęki delikatnych storczyków o fantastycznych koronach i szereg wyrazistych twarzy z zapalającą się iskrą ciekawości w oczach, i przyjaznym na ustach uśmiechem..

(C. d. n.). *Marja Wysłouchowa.*

[1]) We wsi. [2]) Szukać. [3]) Zaprowadzimy.

[4]) Zamiast urzędowej nazwy Istebna ludność miejscowa używa często formy dawniejszej Izdebno, niekiedy Istebno.

[5]) Tutaj.

[1]) Spać. [2]) Niespodziewała się. [3]) Będzie.

Wiadomości bibljograficzne.

Księgarnia T. Paprockiego w Warszawie zapowiada nowe wydanie 6-tomowego dzieła *T. Korzona* „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława-Augusta“.

Nakładem Akademji umiętn. w Krakowie ukazała się obszerna monografja o znakomitym myślicielu *Hoene Wrońskim,* pióra S. Dicksteina.

Wkrótce zacznie wychodzić w Warszawie pod redakcją *Wł Nowickiego* „Słownik ortograficzny języka polskiego“.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.